

...czyli jak Hanka na świat przyszła

Ciąża przebiegała prawidłowo, wszystko było dobrze, wszelkie badania to potwierdzały. Jednakże należała ona do zagrożonych o tyle ? zarówno pierwsza z Julką, jak i ta z Hanią ? że były one stymulowane, ponieważ miałam problemy z zajściem w nie. Jako podtrzymywane, były więc to ciąże wyższego ryzyka. Pierwsza zakończyła się bezproblemowo, jak ja to teraz mówię ?pani profesor ZDĄŻYŁA przyjechać?, natomiast przy drugiej ciąży ? prowadzonej również przez nią - ?pani profesor ZAPOMNIAŁA?. I zapomniała też o jednym ? teoretycznie drobnym ? fakcie: mianowicie, że nie miałam przy pierwszej ciąży rozwarcia. Po prostu tak mam ? niejako z urodzenia. A ona aplikowała mi środki na rozwarcie, choć pierwsza ciąża z racji jego braku, zakończona była cesarką. I cały czas jej powtarzałam, że przecież wtedy tego rozwarcia wcale nie miałam, ona zaś wciąż mówiła ?chociaż na opuszek, tak mało, jak na opuszek?.

I zanim dojdziemy do sedna, to muszę powiedzieć, że teraz, gdy tak sobie o tym myślę, to miałam jakieś niesamowite przeczucia. Dlatego, że prosiłam ją już od dłuższego czasu przed porodem ? bo ciąża była donoszona, dziecko termin ma tuż tuż, tak czy owak będzie cesarka ? czy można to zrobić po prostu wcześniej.
- Dobrze, to już trzydziesty siódmy tydzień, będziemy więc działać ? brzmiała odpowiedź pani profesor K., ówczesnej ordynator patologii ciąży, gdzie zresztą na te dwa tygodnie przed porodem mnie położyła.
- Kasia, zrobimy ci wszystkie badania, zobaczymy ? powtarzała mi.
I faktycznie, zrobiono mi te konieczne badania, według wyników wszystko było dobrze, wtedy też podawano mi jakieś pierwsze środki na rozwarcie.
- Ja cię wypisuję do domu, zgłosisz się po weekendzie ? zadecydowała wreszcie pani profesor, gdy tego rozwarcia nie było, a na wolne dni nie chciała mnie zostawiać w szpitalu.
Wypisano mnie, w domu posiedziałam kilka dni, do środy, tak jak miałam termin porodu, po czym tego dnia o ósmej rano stawiłam się w szpitalu ponownie. Zbadano mi rozwarcie, rzecz jasna wcale go nie było i kazano przejść na porodówkę.
Zaprowadził mnie tam Karol, przydzielono mi łóżeczko i... I potem, mniej więcej o godzinie dziesiątej, zbadała mnie wreszcie pani profesor K.
- Słuchaj ? mówi ? ja ci założę COŚ.
No i założyła mi jakąś rzecz, dokładnie nie powiem niestety, co.
- Nie powinnam tego robić ? stwierdziła ? ale to jest na rozwarcie.
Mówiłam jej ? i będę to ciągle z uporem maniaka powtarzać, bo to jest właśnie kluczowa sprawa w tym wszystkim ? że ja tego rozwarcia nie miałam wcześniej i teraz też mieć nie będę. Ona jednak mimo tego założyła mi ?to coś?.
- Dobra, Kasia, to teraz czekamy na rozwój sytuacji ? powiedziała. I poszła!

Pani profesor, ordynator, mogła sobie wyjść spokojnie ze szpitala. A u mnie wkrótce potem zaczęły pojawiać się jakieś straszne bóle, potworne, graniczące wręcz z... no nie wiem, z czym, to nie do opowiedzenia. Po jakimś czasie odpłynęły mi wody...

I jeszcze coś... od tej godziny dziesiątej nikt już do mnie nie przychodził. To znaczy w tym sensie, że nie było lekarza, nie robiono mi wcale KTG ? a Hania urodziła się za piętnaście szósta po południu. Czyli jakby przez te prawie osiem godzin mój temat nie istniał. Karol był w pracy, bo tak ustaliliśmy. Ponieważ tak czy owak miała być cesarka, więc miałam do niego zadzwonić przed zabiegiem, on miał dojechać, odstawiając w międzyczasie Julkę, gdzie trzeba. Ale przyszedł w pewnej chwili taki moment, że zaczęło dziać się coś niedobrego. Nawet zaczęłam płakać, że na pewno jest coś nie tak, a położna, która tam była wciąż mówiła, że to ja histeryzuję, że na pewno nic się nie dzieje i tyle.
- Proszę pani, ja naprawdę nie mogę wytrzymać, proszę mi wierzyć ? mówiłam ze łzami ściekającymi po policzkach, ale jej to nie ruszało w ogóle. Zaczęłam więc wydzwaniać do Karola, a ten z kolei do pani profesor.
- Wszystko wiem, już jadę ? odparła, a okazało się później, że siedziała sobie u fryzjera.
W każdym razie ? to był taki ból, że pewnych rzeczy po prostu już nie pamiętam. Wiem, że nie mogłam już chodzić, chociaż one - położne znaczy ? kazały mi chodzić jak najwięcej. Wtedy była już godzina mniej więcej piętnasta-szesnasta. Przyjechał Karol, pani profesor zaś nadal nie było, a gdy wreszcie się pojawiła, to ja byłam już półprzytomna, nawet nie była w stanie o własnych siłach wejść na to łóżko, bo odpływałam. A K. jak przyjechała, to zrobiła mi dopiero KTG.

- Nie ma tętna, natychmiast na porodówkę! - krzyknęła, widząc wynik.
- Ale zaraz, zaraz, coś tam jeszcze słychać, bez paniki ? mitygowała ją położna, z widocznym znudzeniem i obojętnością.
- Natychmiast! - powtórzyła K., wiedziała bowiem, co mi podawała. I jako jedyna miała świadomość tego, co się może wydarzyć. Poza nią nikt o tym nie wiedział. Stąd natychmiast na salę operacyjną na cesarkę.
- Natychmiast na porodówkę! - słyszałam, jak mnie zapakowały na łóżko.
- Sala jest zajęta! - odpowiadał ktoś inny.

Pamiętam tylko tyle z tego, że leżę na noszach, takim specjalnym łóżku, i wiozą mnie przez ten korytarz, a mnie boli jak s.....n. A to łóżko ? jak traktor ? podskakiwało. I był wtedy taki moment, że miałam wrażenie, iż coś tam się stało. W środku. Nie powiem dokładnie, bo to trudno ubrać w słowa, takie wrażenie, że coś się może odkleja. I wiozą mnie na górę, na trzecie piętro, po czym przekładają na łóżko operacyjne, ja widzę panią profesor z rękami podniesionymi, ze skalpelem, jak mi polewa na brzuch jakąś jodynę czy innych środek, a ja usypiam...

...i budzę się, a wokół mnie totalny hardcore.
- Boże, co to? Rzeź była? - to pierwsze słowa, które mnie dobiegają, niemal jak z zaświatów. To pytała jakaś pielęgniarka, położna, czy salowa ? ktoś kto miał posprzątać.
- Nie, macica pękła! - pada odpowiedź i choć to słyszę, to jeszcze nie zdaję sobie sprawy, że to o mnie.

Następny moment, jaki pamiętam, to już w sali, jak Karol coś do mnie mówi:
- Kasia, Kasia... coś tam... Kasia!
- Jak tam Hania? - pytam.
...

i nic...
i nic nie słyszę...
- Jak tam Hania? - powtarzam. - Ile Apgar?
...
i znów nic nie słyszę...
Mówię tak ? i to pamiętam jak dziś ? mówię:
- Siedem?
- Nie!
- Pięć?
- Nie!
- Trzy?
A on mówi tak:
- JEDEN!
- Ale gdzie Hania? - pytam gorączkowo.
- Hania ? mówi Karol takim chłodnym, zdroworozsądkowym tonem ? wiesz, takie są procedury, ona teraz jest pod tlenem, nie martw się, musi tak być.
Po tym ja znowu w jakąś śpiączkę zapadłam...

- Przetaczamy krew! - słyszałam tylko jak przez mgłę.
To mi przetaczali krew, bo miałam olbrzymi ubytek krwi. Przy pęknięciu macicy jest bowiem tak masywny krwotok, że ja praktycznie umarłam razem z tą Hanką. Gdyby nie to, że oni mieli pewien lek, który tak naprawdę nie powinien był się tam w ogóle znaleźć, to by mnie nie było. Ale akurat był, na moje szczęście. Przetaczali mi krew, potem osocze, ja się trzęsłam jak galareta, było mi strasznie zimno, w wyniku tej utraty krwi, narkozy i ogólnie całej operacji, która trwała ponad godzinę.

Co więc poszło nie tak? Przede wszystkim: przedawkowanie tego środka na rozwarcie, to spowodowało pęknięcie macicy. Hania po prostu wypłynęła i wyjęto ją z mojego brzucha. Poza tym ? nie przeprowadzono mi w ogóle KTG, a przecież jest ono obowiązkowe, co dwie godziny ? zrobiono je, gdy już było za późno. I po trzecie: zaniedbanie, bo nikt się mną nie interesował, ani tym, co się ze mną dzieje, przez tych kilka godzin. Zostałam pozostawiona sama sobie, płacząca, wyjąca z bólu, prosząca o pomoc. Ja błagałam o jakiekolwiek zainteresowanie ? nikt nie reagował.
- Wszystko będzie dobrze, proszę siedzieć i czekać ? to była jedyna odpowiedź, jakiej mi udzielano.

- Kaśka, jak ty to, k...a, przeżyłaś? - pytała potem moja ciotka, która jest chirurgiem. - Przecież jak pęka mięsień, w dodatku tak ukrwiony jak macicy, to to jest nie do przeżycia!
W momencie pęknięcia krew faktycznie zalała mnie całą, Hankę zalała, ona w tej krwi pływała, praktycznie się w niej topiła. Być może właśnie dlatego jej stan jest taki, bo gdyby ona się tylko bidula nie dotleniła, w sensie chwilowym, to by pewnie było dobrze. Ale ponieważ ta p.....a macica pękła, ona się opiła tej krwi, wszystko się powaliło... tak to sobie wyobrażam.

Jeszcze tego samego wieczoru, jak się obudziłam, a Karol jeszcze był, przyszła do mnie pani neonatolog.
- Mam złe wiadomości ? powiedziała. - Hania miała drgawki.

- Jakie drgawki? O co chodzi? - przeleciało mi przez myśl.
- To oznacza, że z systemem nerwowym jest niedobrze ? wyjaśniła. - Jest uszkodzony centralny układ nerwowy...

Dzień następny przeleżałam w łóżku, nafaszerowana środkami uspokajającymi, drugiego dnia odmówiłam jedzenia i zaczęłam wyć. Po prostu wyć, krzyczeć na cały oddział, więc profesor K. zadecydowała o przeniesieniu mnie na patologię, żebym nie musiała oglądać innych dzieci. Ja nie miałam przecież dziecka przy sobie. Hania była pod respiratorem. Wszystko to było wycie, wycie, szok totalny i ponowne wycie...

A był tam też lekarz dyżurny, facet mniej więcej w naszym wieku, Norbert.
- Wszystko będzie dobrze, nic się nie martw ? mówił kilka dni po porodzie. - Szampana to może jeszcze nie otwierajcie, ale tu przepływy wychodzą u Hani bardzo dobrze, coś tam, coś tam, bla bla bla...

I potem, jak pewnego dnia mnie spotkał w Tesco, parę lat później, to uciekał. Jak tylko mnie ujrzał, to zrobił się cały czerwony i zwyczajnie s.....ł!!!

Kasia